

NOWA POWIEŚĆ AUTORKI  
SMAŻONYCH ZIEŁONYCH POMIDORÓW

# FANNIE FLAGG

*Babska Stacja*





FANNIE  
FLAGG  
*Babska Stacja*

TŁUMACZENIE  
DOROTA DZIEWOŃSKA

  
OTWARTE  
KRAKÓW 2015

Tytuł oryginału: *The All-Girl Filling Station's Last Reunion*

Copyright © 2013 by Willina Lane Productions, Inc.

Copyright © for the translation by Dorota Dziewońska

Opieka redakcyjna: Anna Małocha

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Projekt okładki: Eliza Luty

Opracowanie typograficzne 1 s. okładki: Urszula Pągowska

Fotografie na okładce: kobieta przy samochodzie – © iStockphoto.com /  
RetroAtelier, kobieta w sukience – © iStockphoto.com / Massonstock

Rysunki na okładce powstały na podstawie zdjęć z iStockphoto.com:  
kobieta przy dystrybutorze – © iStockphoto.com / Guelt,  
samolot – © iStockphoto.com / AleksandarDickov

Fotografia autorki: © Suze Lanier

Adiustacja, korekta i łamanie: Wydawnictwo PLUS

ISBN 978-83-7515-324-8



**OTWARTE**

**[www.otwarte.eu](http://www.otwarte.eu)**

---

Zamówienia: Dział Handlowy, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków,  
tel. (12) 61 99 569

Zapraszamy do księgarni internetowej Wydawnictwa Znak,  
w której można kupić książki Wydawnictwa Otwartego: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

---

## PROLOG

### **POCZĄTEK**

---

**Wilno, Polska**  
**1 kwietnia 1909**

W roku 1908 Stanisław Ludwik Jurdabralinski, wysoki, chudy czternastolatek, miał przed sobą niepewną przyszłość. Ciężko było żyć w Polsce pod rosyjskim zaborem, gdzie prześladowanie polskich patriotów przybierało różne formy i często kończyło się ich śmiercią. Mężczyzn i chłopców zaciągano do carskiej armii, a aby złamać ducha polskości, katolików i księży wtrącano do więzień za wrogą postawę wobec caratu. Zamykano kościoły. Ojciec i trzech stryjowie Stanisława znaleźli się na zesłaniu za głośne wyrażanie poglądów.

Za namową starszego brata Wincentego, który opuścił Polskę pięć lat wcześniej, Stanisław przybył do Nowego Jorku. Całym jego dobytkiem były źle dopasowany wełniany garnitur, który miał na sobie, fotografia matki i sióstr oraz obietnica pracy. Z pomocą polskiego dokera, z którym zaprzyjaźnił się na statku, udało mu się dostać do pociągu towarowego.

Pięć dni później Stanisław stanął na progu domu swojego brata w Chicago pełen nadziei, gotów rozpocząć nowe życie. Słyszał, że w Ameryce, jeżeli człowiek ciężko pracuje, wszystko jest możliwe.

## **NIEZWYKŁY TYDZIEŃ**

---

**Point Clear, Alabama**  
**poniedziałek, 6 czerwca 2005**  
**24°C, słonecznie**

Pani Earle'owa Poole młodsza, lepiej znana przyjaciółom i rodzinie jako Sookie, jechała do domu ze sklepu ogrodniczego drogą numer 98, wioząc ogromną torbę ziaren słonecznika i równie wielką torbę karmy dla ptaków, oraz coś, czego podczas cotygodniowych wizyt w tym sklepie w ciągu ostatnich piętnastu lat nigdy wcześniej nie kupiła, a mianowicie dziewięciokilogramowy worek mieszanki dla ptaków firmy Pretty Boy. Jak już mówiła panu Nadleshaftowi, martwiła się, że mniejsze ptaszki nie dostają wystarczająco dużo pożywienia. Ostatnio co rano, kiedy tylko napełniła karmniki, natychmiast zlatywały się większe, silniejsze modrosójki błękitne, które odganiały od pokarmu mniejszych od siebie konkurentów.

Zauważyła, że modrosójki zawsze najpierw zjadają słonecznik, dlatego zaplanowała, że następnym razem do karmników z tyłu domu nasypie samych ziaren słonecznika, a kiedy sójki zajmą się jedzeniem, szybko obiegnie

dom i do karmników z frontu nasypie mieszanki dla ptaków. W ten sposób biedne zięby i sikorki też będą mogły się poczęstować.

\*

Gdy przejeżdżała przez most nad zatoką Mobile, podniosła wzrok na duże białe pierzaste chmury, pod którymi nisko nad wodą leciał długi klucz pelikanów.

Zatoka lśniła w jasnym słońcu już nakrapiana czerwonymi, białymi i niebieskimi żaglowcami, które wypływały z miasta na cały dzień. Kilku wędkarzy łowiących przy moście pomachało do niej, gdy ich mijała, a ona z uśmiechem odpowiedziała im tym samym. Była już prawie po drugiej stronie, gdy nagle ogarnęło ją trudne do sprecyzowania, tak rzadko przez nią doznawane poczucie satysfakcji. Nie bez powodu.

Wbrew wszelkim przewidywaniom właśnie udało jej się przeżyć ślub ostatniej z córek. Wydała już za mąż wszystkie trzy: Dee Dee, Ce Ce i Le Le. Teraz ich jedynym dzieckiem „na wydaniu” był 25-letni syn Carter mieszkający w Atlancie. Ale to już inna biedaczka (Panie, zlituj się nad nią), matka panny młodej, będzie planowała tę radosną ceremonię. Na ślubie Cartera ona i Earle będą musieli tylko się pojawić i ładnie uśmiechać. A dzisiaj, poza wstąpieniem do banku i kupieniem paru kotletów wieprzowych na obiad, nie miała nic do roboty. Poczucie ulgi niemal przyprawiało ją o zawrót głowy.

Oczywiście Sookie ogromnie kochała, wręcz ubóstwiała swoje córki, ale konieczność zorganizowania trzech wesel w ciągu niecałych dwóch lat oznaczała uciążliwą, niekończącą się pracę na całodobowym etacie. Organizowanie wieczorów panieńskich, wybieranie wzorów, zakupy,



przymiarki, wypisywanie zaproszeń, spotkania z restauratorami, planowanie usadzenia gości, zamawianie kwiatów i tak dalej – to wszystko spadło na jej głowę. Do tego doszło jeszcze uzgadnianie różnych rzeczy z przyjezdnymi weselnikami i z rodzicami panów młodych, ustalanie, gdzie kogo umieścić, no i histeria przedślubna panien młodych, co całkowicie wykończyło biedną Sookie.

Zresztą, nic dziwnego. Licząc z ostatnim ślubem Dee Dee, właściwie odbyły się cztery duże wesela, co oznaczało zakup materiałów i szycie czterech różnych sukienek dla matki panny młodej (nie można wystąpić dwa razy w tej samej) w niecałe dwa lata.

Dee Dee wyszła za mąż i szybko się rozwiodła. Kiedy wreszcie po kilku tygodniach udało się zwrócić wszystkie prezenty ślubne, Dee Dee zmieniła zdanie i po raz drugi poślubiła tego samego mężczyznę. Jej drugie wesele nie było już tak wystawne jak pierwsze, ale ani na jotę mniej stresujące.

Kiedy ona i Earle brali ślub w 1968 roku, była to typowa kościelna ceremonia: biała suknia ślubna, drużny w jednakowych pastelowych sukienkach i butach, druźbowie, osoba podająca obrączki, przyjęcie weselne, pożegnanie gości i tyle. Ale teraz wszyscy musieli mieć coś w rodzaju imprezy tematycznej.

Dee Dee chciała mieć ślub w stylu starego Południa, jak z *Przeminęło z wiatrem*: z suknią Scarlett O’Hary, taką z bufiastym dołem i spódnicą na kole, tak że w ostatniej chwili okazało się, że trzeba ją wieźć do kościoła małym vanem przeprowadzkowym, w którym mogła jechać na stojąco.

Le Le i jej narzeczony zapragnęli ślubu wyłącznie w kolorach bieli i czerwieni, wliczając w to zaproszenia, jedzenie, napoje i wszystkie dekoracje, dla uczczenia drużyny futbolowej Uniwersytetu Alabamy.

Z kolei Ce Ce, bliźniaczka Le Le, ostatnia z wychodzących za mąż, niosła przez środek kościoła swoją perską kotkę Peek-a-Boo zamiast bukietu, a owczarek niemiec-ki pana młodego, przyodziały w smoking, pełnił funkcję drużby. A jakby tego było mało, czyjś zółw podawał obrączki. Całe to przedsięwzięcie wlokło się niemiłosiernie. Trudno przecież ponaglać zółwia.

\*

Gdy tak o tym teraz myślała, Sookie doszła do wniosku, że powinna była zareagować, kiedy Ce Ce i James poprosi-  
li wszystkich przyjaciół o przybycie wraz ze swoimi zwier-  
zątkami. Nie chciała jednak łamać danej sobie obietnicy,  
że nie będzie do niczego zmuszać swoich dzieci. W każ-  
dym razie wymiana całej wykładziny w sali bankietowej  
Grand Hotelu miała ich kosztować fortunę. No cóż. Już  
i tak po wszystkim. Na szczęście ma to za sobą, a jak się  
zdaje, zdążyła w ostatniej chwili.

Dwa dni temu, kiedy Ce Ce wyjechała w podróż po-  
ślubną, Sookie przeżyła załamanie nerwowe. Nie potrafi-  
ła opanować gwałtownego szloch. Nie wiedziała, czy to  
syndrom pustego gniazda czy zwykłe wyczerpanie. Wie-  
działa tylko, że jest zmęczona. Na przyjęciu zdarzyło jej  
się przedstawić jakiegoś mężczyznę jego własnej żonie.  
I to dwukrotnie.

Prawdę mówiąc, choć ze smutkiem żegnała Ce Ce i Ja-  
mesa, w duchu już się nie mogła doczekać chwili, gdy wró-  
ci do domu, zdejmie z siebie ubranie i zagrzebie się w łóżku  
na jakieś pięć lat, ale nawet to musiało poczekać. W ostat-  
niej chwili bowiem rodzice Jamesa i jego siostra z mężem  
postanowili zostać jeszcze jeden dzień, więc musiała szyb-  
ko zorganizować dla nich „pożegnalny” posiłek.

Racja, nie było to nic wyszukanego: margarity kokosowe Earle'a, krakersy, serek twarożkowy i salsa paprykowa, krewetki i kaszka kukurydziana, placuszki krabowe z sałatką coleslaw i auszpick pomidorowy. Ale mimo wszystko kosztowało to nieco wysiłku.

\*

Kiedy wjechała do niewielkiego miasteczka Point Clear i minęła księgarnię, przyszło jej do głowy, że może jutro zajrzy tu i kupi sobie jakąś dobrą książkę. Dotąd nie miała czasu na czytanie czegokolwiek poza horoskopem, biuletynem stowarzyszenia studentek Kappa i raz na jakiś czas pisma „Ptaki i Rośliny”. Nie wiedziałyby nawet, gdyby kraj był w stanie wojny. Teraz jednak będzie mogła znowu przeczytać całą książkę.

Nagle naszła ją ochota, by zatańczyć twista – tu i teraz, na przednim siedzeniu samochodu – a to tylko jej przypomniało, ile już czasu minęło, odkąd ona i Earle nauczyli się nowego tańca. Pewnie już nawet nie pamięta najprostszych kroków.

Jedynym, co naprawdę pozostało na jej głowie, była jej osiemdziesięcioośmioletnia matka, cudowna pani Lenore Simmons Krackenberry, która stanowczo odmawiała przeprowadzki do uroczego domu opieki po drugiej stronie miasteczka. A gdyby się na to zgodziła, wszystkim byłoby dużo łatwiej. Samo utrzymywanie domu matki stanowiło duży wydatek, nie wspominając o rocznym ubezpieczeniu. Od czasu huraganu ceny ubezpieczeń domów nad zatoką Mobile wystrzeliły w kosmos. Lenore jednak uparła się, że nigdy nie wyprowadzi się z domu, co oznajmiła, dramatycznie gestykułując: „Póki mnie nie wyniosą nogami do przodu”.

Sookie nie wyobrażała sobie matki opuszczającej jakiegokolwiek miejsce nogami do przodu. Jak daleko ona i jej brat Buck sięgali pamięcią, Lenore – kobieta o postawnej, imponującej sylwetce, która nosiła mnóstwo drobnych broszek i długie, zwiewne szaliczki, a srebrne włosy zaczesywała do tyłu, układając je w sztywno polakierowane fale – wychodziła zewsząd piersią do przodu. Buck powiedział kiedyś, że wygląda jak figurka umieszczana na masce samochodu, i od tej pory między sobą nazywali ją Skrzydlata Nike. A Skrzydlata Nike nie mogła tak zwyczajnie wyjść; ona sunęła z fasonem, ciągnąc za sobą smugę drogich perfum. Nigdy nie była cicha, w żadnym sensie tego słowa – gdy się zbliżała, to niczym konia paradnego prezentowanego na Paradzie Róż słyhać ją było już na kilometr, gdyż podzwaniała licznymi bransoletkami, obręczami i koralikami, którymi lubiła się obwieszać. Do tych dźwięków dochodził głos, który w szczególny sposób zwiastował jej nadejście. Bowiem Lenore miała głos donośny, dudniący, ponadto podczas swojej edukacji na pensji dla panien w Judson College przeszła kurs ekspresji. Ku utrapieniu całej rodziny nauczyciel zachęcił ją do wykorzystywania zdobytych tam umiejętności.

W ostatnim czasie, z powodu pewnych niedawnych zdarzeń, wśród których znalazło się podpalenie przez nią własnej kuchni, trzeba było zatrudnić dla Lenore opiekunkę, która z nią zamieszkała. Chociaż Earle jako wzięty dentysta miał wielu pacjentów, nie można powiedzieć, żeby byli zamożni, a już na pewno nie w obecnej sytuacji, gdy wydali tyle pieniędzy na wykształcenie dzieci, ślubu, hipotekę Lenore, a teraz jeszcze tę opiekunkę. Biedny Earle chyba przez to będzie musiał pracować do dziewięćdziesiątki, ale opiekunka była naprawdę konieczna.

Lenore, która była nie tylko hałaśliwa, ale też lubiła wyrażać swoje zdanie i robiła to zawsze, gdy tylko napałował się jej jakiś słuchacz, nagle zaczęła wydzwaniać do zupełnie obcych osób, i to z daleka. W ubiegłym roku zadzwoniła do Rzymu do papieża i samo to połączenie kosztowało ich ponad trzysta dolarów. Gdy Lenore zobaczyła rachunek, wpadła w szal i stwierdziła, że nie powinna w ogóle płacić, bo całe połączenie spędziła na oczekiwaniu. Spróbowałyby to powiedzieć firmie telefonicznej. Zresztą nie było w tym żadnej logiki. Kiedy Sookie spytała ją, dlaczego zadzwoniła do papieża, skoro jest zagorzałą metodystką w szóstym pokoleniu, Lenore zastanowiła się chwilę i odpowiedziała:

- Tak tylko... pogadać.

- Pogadać?

- Tak. Powinnaś mieć szersze horyzonty. Na pewno można się dogadać z katolikami. Nie musisz zaraz za takiego wychodzić za mąż, ale przyjacielska pogawędka nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

Bywały też inne incydenty. Na spotkaniu Izby Handlowej Lenore nazwała burmistrza jajogłowym farbowanym lisem i koniokradaem i wszczęto wobec niej sprawę o zniesławienie. Sookie zamartwiała się okrutnie, ale Lenore nie traciła rezonu.

- Muszą udowodnić, że to, co mówiłam, jest nieprawdą. Żadna ława przysięgłych przy zdrowych zmysłach nie ośmieli się mnie skazać!

W końcu sędzia oddał pozew, ale i tak cała ta sytuacja była żenująca. Przez cały ubiegły rok Sookie musiała unikać burmistrza i jego żony, a w takim małym miasteczku było to niemal niemożliwe. Spotykali się wszędzie.

Od czasu tamtej sprawy trzy razy zmieniali opiekunki. Dwie zrezygnowały, a jedna odeszła w środku nocy

z jednym z dużych pierścionków Lenore i z mrożonym indykiem. Teraz, po wielu miesiącach poszukiwań, Sookie miała wrażenie, że wreszcie znalazła idealną osobę: przeżyła starszą kobietę z Filipin o imieniu Angel, która odnosiła się do Lenore z niezwykłą cierpliwością i wyrozumiałością, mimo iż ta uparcie nazywała ją Conchitą, jako że przypominała jej Meksykankę pracującą u niej w latach czterdziestych w Teksasie, gdzie stacjonował wówczas ojciec Sookie.

Na szczęście teraz, kiedy Lenore znajdowała się pod opieką Angel, Sookie mogła wziąć udział w spotkaniu stowarzyszenia studentek Kappa w Dallas, gdzie miała się też zobaczyć z Deną Nordstrom, współlokatorką z okresu studiów. Regularnie rozmawiały ze sobą przez telefon, ale nie widziały się już bardzo długo, i Sookie nie mogła się tego spotkania doczekać.

\*

Czekając na zmianę światła, opuściła osłonę przeciwsłoneczną, żeby się przejrzeć w lusterku. Dobry Boże, to był błąd. Przypuszczalnie po pięćdziesiątce nikt nie wygląda dobrze w jaskrawym słońcu, ale nawet przy takim zastrzeżeniu, Sookie doszła do wniosku, że strasznie się zaniedbała. Od ponad trzech lat nie była u okulisty, a najwyraźniej potrzebowała już nowych okularów.

W ubiegłym miesiącu w kościele omal nie spaliła się ze wstydu. Miała przeczytać: „Jestem naczyniem miłości Bożej”, a powiedziała: „Jestem wyczynem miłości Bożej”. Earle twierdził, że nikt tego nie zauważył, ale ona wiedziała swoje.

Znowu spojrzała w lusterko. O Boże, nic dziwnego, że wygląda tak okropnie. Wybiegła rano z domu bez

żadnego makijażu. Teraz musiała wrócić i się umalować, zanim załatwi resztę spraw. Zawsze starała się wyglądać tak, żeby nikogo nie odstraszać. Na szczęście nie była tak próżna jak jej matka, bo chyba w ogóle nie wychodziłaby z domu. Dla Lenore wygląd był wszystkim. Szczególnie dumna była z tego, co nazywała stopami Simmonsów i z niewielkiego, lekko zadartego noska. Sookie odziedziczyła dłuższy nos ojca, a Buckowi – jakżeby inaczej – trafił się ten ładny. Ale co tam. Ona przynajmniej ma stopy Simmonsów.

\*

Gdy tylko światło zmieniło się na zielone, obok prze-mknęła Netta Vep w swoim ogromnym fordzie fairlane z 1989, zapewne w drodze do Costco. Zdążyła jeszcze zatrąbić na powitanie. Sookie także uderzyła w klakson. Kochana rozsądna Netta. Sookie za nią przepadała. Obie były spod znaku Lwa.

Dom Netty znajdował się pomiędzy ich domem a domem Lenore. Biedaczka utknęła pośrodku – z jednej strony wszystkie dzieci i zwierzęta Poole’ów, a z drugiej Lenore wydzwanająca do niej w dzień i w nocy – ale nigdy się nie skarżyła. Do licha, jestem wdową. Na jaką inną rozrywkę mogę liczyć? – mawiała.

\*

Sookie chyba nie powinna się dziwić, że tematem przewodnim na ślubie Ce Ce było hasło „Zwierzęta też ludzie”. W którymś momencie w ich domu mieszkało jednaścicie zwierzaków, w tym aligator, który wyszedł z zatoki i wgramolił się na schody tarasu, trzy koty i cztery psy, wśród

nich ukochany dog niemiecki Earle'a zwany Maluszek mimo gabarytów małego konia.

Wszystkie te psy, koty i chomiki – i jeden ślepy szop – były do zaakceptowania, ale w kwestii aligatora Sookie wyznaczyła nieprzekraczalną granicę: musiał pozostawać w piwnicy. Ona też kochała zwierzęta, ale jeżeli człowiek boi się wstać w nocy i pójść do łazienki, to trzeba tupnąć nogą, mimo obawy, że coś ci ją odgryzie.

Najtrudniejsze w trzymaniu zwierząt było to, że tak szybko odchodziły. Dwa lata temu zdechł Pan Henry, który mieszkał z nimi osiemnaście lat, i od tej pory Sookie nie była w stanie spojrzeć na rudego kota, nie uroniwszy choćby łzy. Po śmierci Pana Henry'ego powiedziała Earle'owi, że koniec ze zwierzętami. Nie chciała się narażać na kolejne ciosy.

\*

Przejeżdżając przez miasteczko, pomachała do Doris, sprzedającej pomidory na rogu, i zaczęła zjeżdżać w dół w kierunku swojego domu nad zatoką.

Wzdłuż drogi po obu stronach rosły dostojne dęby jeszcze sprzed wojny domowej. Po prawej stały stare drewniane domy zbudowane na ogół przez mieszkańców Mobile z przeznaczeniem na letni wypoczynek. Sookie pomyślała, że gdyby dostawała centa za każdym razem, kiedy przez te wszystkie lata tędy przejeżdżała, byłaby już milionerką.

Miała osiem lat, kiedy jej ojciec sprowadził tutaj z Selmy rodzinę na lato. Przyjechali do Point Clear w ciepły, przyjemny wieczór, gdy w powietrzu unosił się zapach fuksji i wisterii.

Wciąż pamiętała tę chwilę, kiedy schodzili ze wzgórza i zobaczyli światła Mobile połyskujące z drugiej strony



jeziora niczym drogocenny naszyjnik. Jakby znaleźli się w krainie wróżek. Mech hiszpański zwisający z gałęzi miał w blasku księżyca barwę srebra i rozsiewał po asfalcie tańczące cienie. A łodzie do połowu krewetek w zatoce, z migoczącymi zielonymi światełkami, wyglądały jak wystrojone na Boże Narodzenie. Dla Sookie Point Clear zawsze było miejscem magicznym.

\*

Skręciła mniej więcej półtora kilometra za Grand Hotelem i jechała jeszcze kawałek podjazdem wysypanym kruszonymi muszlami, aż w końcu zaparkowała samochód pod zadaszeniem. Dom Netty był prawie taki sam jak ich, lecz jej podwórko dużo ładniejsze. Sookie postanowiła sobie w myślach, że jak tylko trochę odpocznie, zajmie się ogrodem. Krzaki azalii były w pożałowania godnym stanie, a hortensje niemal całkiem zdziczały.

Ich dom, jak większość domów przy tej drodze, był drewniany, biały z ciemnozielonymi okiennicami. Domy nad zatoką powstawały jeszcze przed erą klimatyzacji. Pośrodku zawsze znajdował się szeroki hol, przez który przechodziło się na duży osłonięty taras z widokiem na zatokę. Wszystkie też miały spore drewniane molo zakończone blaszaną wiatą z miejscami do siedzenia. Kiedy dzieci były małe, ona i Earle siadywali tam niemal co wieczór i oglądali zachód słońca, słuchając kościelnych dzwonów, których dźwięk niósł się po całej zatoce. Nie robili tego od lat. Tak bardzo jej brakowało tego, by znowu po być sam na sam z Earle'em.

Wyjęła torby z nasionami z samochodu i wniosła je do niewielkiej szklarni, którą zbudował dla niej Earle. Trzymała tam zapasy dla ptaków. Kilka minut później, gdy

już weszła do domu, nagle uderzyła ją panująca wewnątrz cisza. Wprost nienaturalna cisza. Stała w miejscu i słyszała jedynie tykanie kuchennego zegara oraz krzyki mew nad zatoką. Dziwnie było nie słyszeć trzaskania drzwi ani tupotu na schodach. Jak przyjemnie napawać się ciszą i spokojem i nie musieć znosić głośnej muzyki dobiegającej z góry. Tak przyjemnie, że Sookie postanowiła zrobić sobie herbatę, by przez kilka minut posiedzieć i odpocząć przed ponownym wyjściem.

Właśnie otwierała szafkę, kiedy zadzwonił telefon. W tym pustym domu jego dźwięk zabrzmiał niczym alarm przeciwpożarowy. Podniosła słuchawkę i spojrzała na numer dzwoniącego. Rozmowa międzymiastowa, ale skąd dokładnie – tego nie potrafiła rozpoznać po kierunkowym. Nie odebrała więc. Była zbyt zmęczona, by rozmawiać z kimś, z kim nie musi. W ostatnich dniach uśmiechała się tak często i gawędziła z tyloma ludźmi, że wciąż bolały ją mięśnie twarzy.

Wyjęła filiżankę z wodą z mikrofalówki, chwyciła torebkę z herbatą i wyszła na taras. Usiadła na dużym białym krześle z wikliny. Woda w zatoce była spokojna, gładka niczym szklana tafla, bez najmniejszej zmarszczki.

Zauważyła, że gardenie jeszcze kwitną, i pomyślała, że mogłaby ściąć kilka kwiatów i umieścić je w salonie w szklanej misie. Zawsze wypełniały dom takim słodkim zapachem. Wciągnęła świeże powietrze i już miała się napić herbaty, kiedy znowu odezwał się telefon. No nie, to na pewno pomyłka albo jakiś telemarketer i jeśli się go zignoruje, będzie tak dzwonić do końca dnia. Wstała, wróciła do kuchni i podniosła słuchawkę. Usłyszała głos matki.

- Sookie, przyjdź tu zaraz.
- Mamo, czy coś się stało?
- Mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

- Ojej, mamó, czy to nie może poczekać? Właśnie weszłam do domu.

- Nie, nie może.

- No dobrze, już idę.

Odkładając słuchawkę, nie wiedziała, co myśleć. Ten szczególny ton w głosie matki zawsze wywoływał u Sookie niepokój. Czyżby Lenore dowiedziała się o jej rozmowie z kobietą z domu opieki? Był to tylko jeden telefon, a właściwie pytanie o cenę. Ale jeżeli ktoś poinformował o tym Lenore, będzie wściekła.

Kilka minut później Sookie maszerowała do matki. Opiekunka, która ścinała kwiaty przed domem, podniosła głowę i powiedziała:

- O, dzień dobry, pani Poole. - Po czym dodała ze współczującym uśmiechem: - Niech panią Bóg ma w opiece.

- Dziękuję, Angel - odparła Sookie.

„O Boże... chyba jest gorzej, niż myślałam”. Sookie weszła do domu i krzyknęła:

- Mamó!

- Jestem tutaj!

- To znaczy gdzie?

- W salonie.

Weszła i zobaczyła matkę siedzącą przy dużym rokokowym stole z dwunastoma krzesłami z okresu królowej Anny. Na stole stało duże skórzane pudełko wyłożone aksamitem, w którym mieścił się zestaw sreber stołowych Franciszek I. Obok pudełka leżała duża Biblia rodziny Simmonsów.

- Co się dzieje?

- Usiądź.

Sookie siadła i czekała na to, co miało nastąpić. Lenore spojrzała na nią i powiedziała:

- Sookie, wezwałam cię tu dzisiaj, bo nie jestem do końca przekonana, czy w pełni doceniasz to, co dostaniesz po

mojej śmierci. Jako moja jedyna córka odziedziczysz cały zestaw sreber rodzinnych Simmonsów... i nim opuszczę ten ziemski padół, chcę, żebyś przysięgła mi na Biblię, że nigdy pod żadnym pozorem nie rozdzielisz tego zestawu.

Sookie poczuła ogromną ulgę, że nie chodzi o telefon do domu opieki, i odparła:

– Ojej, mammo... naprawdę doceniam... ale czemu nie przekażesz tego Bunny? Ona i Buck dużo częściej przyjmują gości niż ja.

– Co? Bunny? – Lenore aż zabrakło tchu i dłonią chwyciła za perły na szyi. – Zostawić to Bunny? Oj, Sookie – westchnęła zawiedziona. – Masz pojęcie, ile poświęceń kosztowało utrzymanie tego w rodzinie? – Sookie słyszała tę historię już tysiące razy, ale Lenore uwielbiała ją powtarzać, ubarwiając dramatycznymi gestami. – Babcia Simmons mówiła, że był taki moment podczas wojny, kiedy jedyną rzeczą, która mogła uratować całą rodzinę przed głodem, były te srebra. I wiesz, co zrobiła?

– Nie, mammo. Co?

– Wybrała głód, ot co! Zdarzało się, jak mówiła, że mieli do jedzenia tylko małą garstkę orzeszków. W dodatku musieli zakopywać te srebra co noc w innym miejscu, żeby Jankesi ich nie znaleźli, ale udało jej się je uratować! A ty teraz tak po prostu mówisz: „Och, daj to Bunny”? Ona nie jest z Simmonsów... i nawet nie z Alabamy! Może lepiej od razu poderżnij mi gardło i wyrzuć to wszystko?

– O Boże... Dobrze.... Przepraszam, mammo. Ja tylko... no, jeśli chcesz, żebym to wzięła, to dziękuję. Sookie oczywiście nie chciała ranić uczuć matki, ale naprawdę nie bardzo wiedziała, co zrobić ze srebrami. Nie знаła nikogo, kto w obecnych czasach używałby widelczyka do pikli albo łyżeczki do grejpfruta. Poza tym prawdziwego srebra nie można wkładać do zmywarki. Każdą sztukę trzeba

myć ręcznie. A ona nie miała ochoty czyścić sreber przez cały dzień. Każdy ze sztucców miał na trzonku dwadzieścia osiem ozdobnych owoców, a trzeba było jeszcze polerować serwis do kawy, serwis do herbaty i dwa zestawy świeczników.

Sookie zdawała sobie sprawę, że powinno jej bardziej zależeć na tych srebrach. W końcu przebyły daleką drogę z Anglii i były w rodzinie od kilku pokoleń. Ale nie była aż tak ortodoksyjna jak jej matka. Skrzydlata Nike padłaby trupem, gdyby wiedziała, że jej córka czasami używa papierowych talerzy i plastikowych sztucców i nienawidzi polerowania sreber.

Lenore uwielbiała czyścić srebra. Raz w miesiącu siadywała w białych rękawiczkach przy stole w jadalni i rozkładała cały zestaw przed sobą.

- Nic mnie tak nie odpręża jak czyszczenie sreber - mawiała.

No cóż. Już za późno. Kości zostały rzucone. Sookie już się w to umiała. Przysięgła na Biblię, że nie tylko nie rozdzieli zestawu, ale też osobiście będzie go regularnie polerować.

- Nie dopuść do najmniejszego zmatowienia - zastrzegła Lenore.

Co Sookie mogła zrobić? To, że była córką Lenore, oznaczało, że przyszła na świat z wyznaczonymi powinnościami. Po pierwsze, z dumą podtrzymywać rodzinne tradycje rodu Simmonsów, który według Lenore sięgał korzeniami aż piętnastowiecznej Anglii. Po drugie, bronić rodzinnych sreber.

To był piękny ciepły dzień. Po wyjściu od matki Sookie zdjęła buty i wracała do domu boso brzegiem zatoki. Podczas spaceru myślała o tym, ileż to razy jej rodzina przemierzała drogę między tymi dwoma domami. Zdawało

jej się, że zaledwie wczoraj dzieci przez cały dzień biegały do babci i z powrotem.

Czas jest czymś niepojętym. Tak niedawno dzieci były małe i Sookie zachwycała się ich maleńkimi śladami pozostawianymi na piasku. Tamte dni minęły już bezpowrotnie. Dzieci dorosły i żadne z nich nie miało stóp Simmonsów. Biedactwa. Troje miało uszy Poole'ów. Ale to już inna historia.

\*

Kilka minut później, gdy już nałożyła na twarz nieco makijażu, wróciła do miasta i ustawiła się w kolejce samochodów do banku z okienkiem dla kierowców. Musiała pokryć kolejne nieprzewidziane wydatki Lenore. Mniej więcej dziesięć lat temu Lenore nagle zaczęła wypisywać czeki bez pokrycia, w ogóle nie myśląc o konsekwencjach.

- Nie znoszę zawracać sobie głowy liczbami - powiedziała.

Teraz więc cała poczta Lenore, łącznie z rachunkami, była dostarczana Sookie. Samo przeglądanie listów było zajęciem na prawie cały etat. Lenore z zapalem pisywała do różnych redakcji. Jej ostatnia propozycja zniesienia prawa głosu dla osób poniżej pięćdziesiątego piątego roku życia opublikowana w jednym z czasopism zaowocowała ponad setką listów, na które Sookie musiała odpowiedzieć. Lenore nigdy nie sprawdzała swojej poczty.

- Powiedz mi tylko, czy jest tam coś ważnego - mówiła.

Zamawiała prawie wszystko, co zobaczyła w telewizji, a Sookie musiała to odsyłać z powrotem. Po co kobiecie po osiemdziesiątce przyrząd do ćwiczenia mięśni ud?

Lenore była jej matką i Sookie ją kochała, ale na Boga, jakąż ona była uciążliwa. Kiedy Earle kupił gabinet denty-  
styczny i sprowadzili się do Point Clear na dobre, Lenore uparła się, że przed przeprowadzką muszą przenieść  
szczątki pradziadka Simmonsa z cmentarza w Selmie na  
cmentarz wojskowy w Point Clear.

– Chybabym umarła, gdybym nie mogła odwiedzać  
grobu dziadka Simmonsa. Był generałem, Sookie!

I oczywiście to Sookie musiała się zmagać ze wszyst-  
kimi biurokratycznymi procedurami, by to zorganizować.  
Po wielu tygodniach starań i przekonywania pracowni-  
ków cmentarza, po podpisaniu setek papierów, błagała  
ich już tylko o to, żeby łaskawie pozwolili jej wykopać  
cokolwiek – psa, kota czy konia – i wysłać do Point Clear.  
Tak bardzo miała już tego dość, że była gotowa zgodzić  
się na wszystko.

Samochód przed nią przesunął się o jedno miejsce,  
a ona za nim. Znowu spojrzała na swoje odbicie w luster-  
ku. Z makijażem wyglądała nieco lepiej, ale oczywiście  
zapomniała założyć kolczyki. Naprawdę aż dziw brał, że  
jeszcze nie zwariowała, mając na głowie te wszystkie we-  
sela i do tego matkę.

Zawsze była wrażliwa i miała skłonność do omdleń  
w momentach silnego napięcia. A trwanie w ciągłej nie-  
pewności, co jej mama jeszcze wymyśli, było bardzo  
stresujące. Lenore zjawiała się na ślubie Ce Ce w ogrom-  
nym żółtym kapeluszu zwieńczonym klatką z parą ży-  
wych papużek nierozłączek. Bóg jeden wie, skąd to wy-  
trzasnęła.

Na szczęście wszystkie dzieci Sookie były grzecz-  
ne, bo kiedy dorastały, dawała im bardzo dużo swobo-  
dy. Chciała, by miały beztrudne dzieciństwo. Jej ta-  
kie nie było, gdyż Lenore wciąż ją do czegoś zmuszała.

Sookie zawsze była nieśmiała. Nigdy nie chciała należeć do Panien Azaliowych<sup>\*</sup>, cheerleaderek ani innych podobnych organizacji. Nie miała jednak wyboru. Lenore rządziła twardą ręką.

– Jesteś to winna Simmonsom, Sookie. Musisz nadać ton w towarzystwie.

No cóż... To z pewnością się nie udało. Sookie zdawała sobie sprawę, że jest dla matki rozczarowaniem, ale co mogła na to poradzić? Nie wiedziała dlaczego, ale w szkole, choćby się bardzo starała, nigdy nie miała lepszych ocen niż dostateczne, podczas gdy Buck zbierał same piątki. Nawet lekcje baletu, na które posyłała ją Lenore, były całkowitym nieporozumieniem.

W końcu Sookie dotarła do okienka i podała kasjerce odliczoną kwotę. Nagle się zorientowała, że jej prawe oko wykonuje dziwny tik, który widocznie jest skutkiem stresu po weselu. Jak to dobrze, że Earle w końcu podniósł tego żółwia i podał go Jamesowi, bo inaczej pewnie jeszcze do tej pory by stamtąd nie wyszli. Dziewczyna w okienku wysunęła szufladę z dowodem wpłaty i powiedziała do mikrofonu:

- Dziękuję, pani Poole, życzę miłego dnia.
- O dziękuję, Susie. Tobie również.
- Proszę pozdrowić mamę.
- Dziękuję, pozdrowię.

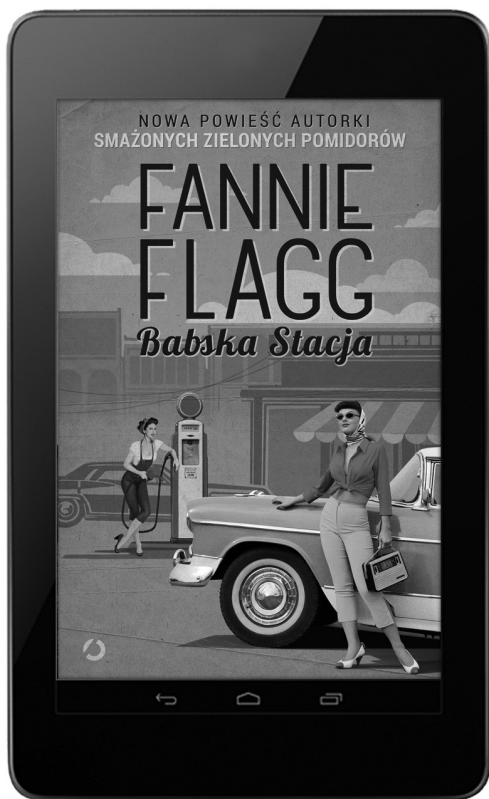
Z banku Sookie podjechała do sklepu, by kupić kilka kotletów wieprzowych. Po namyśle wzięła też puszkę krojonych ananasów. Earle powiedział, że ma dla niej dużą niespodziankę, więc postanowiła nieco urozmaicić smak mięsa.

---

\* Panny Azaliowe (Azalea Trail Maidens) – grupa dziewcząt z Mobile, symbol południowej gościnności. W charakterystycznych barwnych sukniach są obecnie ozdobą różnych imprez. Powstanie grupy łączy się z zachęcaniem mieszkańców do uprawiania azalii (wszystkie przypisy pochodzą od tłum.).



E-book dostępny na  
**woblink.com**



## FANNIE FLAGG POWRACA Z NOWĄ, WCIĄGAJĄCĄ, PEŁNĄ HUMORU I RODZINNYCH TAJEMNIC POWIEŚCIĄ!

Jeden list wywraca do góry nogami uporządkowane życie Sookie i podważa wszystko, co wiedziała o sobie, swojej rodzinie i przeszłości. Bohaterka wyrusza w daleką podróż do Kalifornii, aby odkryć swoje korzenie. Pozna nieoczywistą historię temperamentnej i pomysłowej Fritzie, która w latach czterdziestych prowadziła wraz z siostrami stację benzynową, była także jedną z nielicznych cywilnych lotniczek. Wkrótce okazuje się, że te dwie tak różne kobiety łączą o wiele więcej, niż mogłoby się wydawać...

Czy losy kobiet z Babskiej Stacji zainspirują Sookie do zmiany swojego życia?



Świetnie napisana powieść i kolejna warta sfilmowania!  
Już zazdrościsz aktorce, która będzie grała główną bohaterkę :)

BARBARA KURDEJ-SZATAN



E-book dostępny na

**woblink.com**

ISBN 978-83-7515-324-8



9 788375 153248

Cena detal. 34,90 zł